

Dziadek z windy

Gdybym w jednym zdaniu miał scharakteryzować wydaną przez **Wydawnictwo Fronda** książkę **Doroty Kani, Jerzego Targalskiego i Macieja Marosza**, określiłbym ją jako natrętne, dokonywane na najróżniejsze sposoby galwanizowanie dyskursu lustracyjnego – z jego wszystkimi przypadłościami, manipulowanie danymi, retoryką oskarżenia, spotęgowaną jednostronnością, prymitywizmem i skrajnymi uproszczeniami, a także – rażącą nieznajomością historii Polski Ludowej.

MICHAŁ GŁOWIŃSKI

W ostatnich latach można było sądzić, że dyskurs ów stopniowo obumiera, na czym zaważyło także to, że od zmiany ustrojowej minie niebawem ćwierćwiecze i zdążyło wyrosnąć nowe pokolenie, którego sprawy te już nie dotyczą i są dla niego niezbyt interesujące (najmłodszy, którzy mogą być bezpośrednio lustrowani, przekroczyli czterdziesty rok życia). Autorski tercet nie bierze tego pod uwagę. To, co wypisuje, nie ma żadnych wartości poznawczych, lustracyjna narracja ma tu jedynie funkcje użytkowe, jest wyłącznie narzędziem w walce politycznej, rodzajem siekiery, używanej przeciw tym, których uważa się za wrogów. Właśnie w r o g ó w, nie przeciwników. Z przeciwnikami można dyskutować, nie potępia się wszystkiego, co robią, wrogów się niszczy. Taki jest niewątpliwie cel tego elaboratu. Zdemarkowaniu i potępieniu podlega wszystko, co robią, czy raczej wszystko, co im się przypisuje, demaskowane są czyny neutralne, a nawet szlachetne. Po stronie, którą Kania i towarzysze uznają za swoją, są same cnoty i zasługi, po stronie zwalczanej wszystko, co najgorsze, obowiązują bezwzględnie podziały dychotomiczne, tutaj świat jest podzielony na dwie części. Jest to cecha charakterystyczna wszelkiego totalitarnego myślenia i – w konsekwencji – totalitarnej propagandy. Ta książka jest klinicznie czystym potwierdzeniem tej reguły. I choćby z tej racji bliska jest propagandzie PRL-owskiej i to z jej najgorszych okresów – stalinowskiego i marcowego. Przyjrzyjmy się temu bliżej.

Jedno uderza tu od razu, sygnalizuje to już zresztą tytuł książki. O tym, czym człowiek jest, decyduje na pierwszym miejscu to, z jakiego środowiska i – przede wszystkim – z jakiej rodziny się wywodzi. Autorzy gmerają po biografjach i genealogiach tak, jak to robili stalinowscy śledczy i marcowi antysemita. Obowiązuje tu zasada, którą można scharakteryzować słowami piosenki, popularnej w czasie okupacji: „grunt to rodzinka, grunt to rodzinka, każdy wie...”. I właśnie na owych „rodzinkach” koncentruje się uwaga Kani i jej pismaczych kompanów. Mamy tu do czynienia ze swoistym determinizmem rodzinnym. Stalinowscy propagandyści demaskowali burżuazyjne czy ziemiańskie pochodzenie danej osoby, wskazywali, że jej krewny, choćby daleki przodek czy jakaś inna postać z rodziny, należał do klasy wyzyskiwaczy, miał niesłuszne poglądy czy

był po prostu wrogiem. Tutaj autorzy stosują identyczną metodę, we wszystkim dostrzegają komunistyczną zarzę. Ksiński nie może być porządnym człowiekiem, bo jego dziadek był członkiem KPP, bądź ojciec pracował w jakiejś podejrzanej instytucji w PRL-u, lub po prostu należał do partii. Zasada ścisłego determinizmu środowiskowo-rodzinnego przesądza o tym, że jesteś wrogiem i nie możesz być nikim innym, bo wyrosłeś w takiej właśnie komuszej rodzinie. Koneksi rodzinne śledzone są szeroko, dowiadujemy się na przykład, że pierwsza żona znanego publicyisty to „córka przyrodniego brata żony Romana Zambrowskiego”. Uwagi nie uchodzą najróżniejsi członkowie rodziny, sporo tu się mówi o teściach (któryś teść był na przykład szefem przedsiębiorstwa o nazwie Animex, ojciec innego zaś wrażego publicyisty – dyrektorem Stacji Hodowli Zwierząt; jak widać firmy zajmujące się zwierzętami są szczególnie podejrzane). Postacie teściowych występują wprawdzie rzadziej, ale uwagę przyciągają także pierwsi mężowie matek i drugie żony ojców. Wiele dowiadujemy się o dziadkach, w większości KPP-owcach. Nie ma tu wprawdzie wykopanego przez Jacka Kurskiego „dziadka z Wehrmachtu”, pojawia się jednak dziadek z windy. Oferowana nam jest bowiem mrożąca krew w żyłach wiadomość, że dziadek znanego literata pracował jako windziarz w hotelu, w którym zatrzymywali się sowieccy prominenci, przyjeżdżający do Warszawy (żeby było śmieszniej, ta nowina zaczerpnięta została tym razem nie z ubeckich materiałów, ale ze wspomnieniowej książki oskarżanego autora). Hańba przechodzi tu z dziadków na wnuki. Niektórzy zresztą zapracowują na nią już jako dzieci; jest to przypadek dziennikarki TVN, która jako pięciolatka kolaborowała z PRL-owskim reżimem, występując w audycjach telewizyjnych dla dzieci.

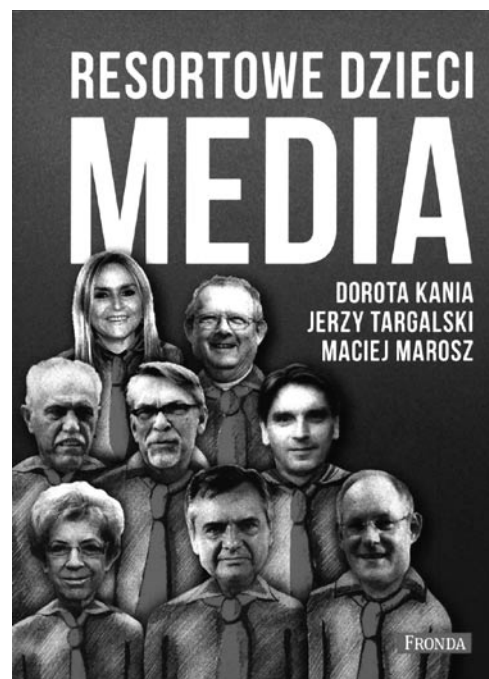
Tu należy wskazać na konsekwentnie stosowany w książce proceder. Autorom bardzo zależy na tym, by ujawnić pochodzenie potępianych osób. Rzadko pojawiają się informacje typu „ojciec narodowości żydowskiej”, żyjemy w czasie poprawności politycznej, z którą na pozór liczą się także autorzy w rodzaju Kani i jej towarzystwa. Z wątku żydowskiego nie mogą jednak zrezygnować, muszą przecież poinformować swojego czytelnika, że inkryminowani złoczyńcy to Żydzi. Pan Piprztzycki z Pikutkowa Dolnego, święcie przekonany, że światem, a zwłaszcza

mediami, rządzi Żydzi, musi w tej książce znaleźć kolejne potwierdzenie dla tego swojego przekonania. I znajduje, bo autorzy ujawniają, że na przykład ojciec znanego dziennikarza nazywał się Mozes Mordka, wybitny publicysta „Polityki” nosił pierwotnie imię Mosze, a nieżyjąca już dziennikarka, matka dwu pisujących w „Gazecie Wyborczej” autorek, miała na imię Lea i odpowiednio brzmiące nazwisko¹. Z pozoru są to tylko informacje, w istocie chodzi o coś całkiem innego. Jako kompromitujące traktowane jest tu nie tylko zresztą żydowskie pochodzenie. Naganne są również ożenki z Rosjankami, to także jest przedmiotem oskarżenia. Potępiani politycznie są naznaczeni rasowo, a jeśli nawet tacy nie są, to chętnie sprzymierzają się z obcymi. Zwłaszcza wątek antyrosyjski jest wyraźny.

W wyszukiwaniu nagannych koneksji rodzinnych, tak zresztą jak wszelkich związków z PRL-owskim światem, obowiązuje absolutna jednostronność. Ci, którzy uznawani są za „swoich”, znajdują się poza podejrzeniami, są niejako czyści z natury – jak współautor Targalski, o którym wiadomo, że był członkiem PZPR, czy choćby pewien poeta, przywoływany z rewerencjami jako najwyższy autorytet, choć zaangażowanie PZPR-owskie jego rodziców nie stanowi tajemnicy. Oskarżenia, zgodnie z politykierską praktyką, podporządkowaną partyjniactwu, kierowane są w stronę wroga. Wrogiem zaś jest każdy, kto „do nas” nie należy. Żeby jednak rozeznaczyć się w charakterze oskarżeń, trzeba zwrócić uwagę na osobliwą koncepcję czasu, jaka w tej elukubracji występuje. Nie ma tu żadnych przedziałów czasowych w historii Polski Ludowej, choć wiadomo, że podlegała ona różnorodnym ewolucjom i przekształceniom. To wszakże nie wszystko, nie jest uwzględniany przełom roku 1989, zmiany ustrojowej nie było. W konsekwencji mamy w tej książce do czynienia z jedną wielką breją czasową, co samo w sobie stanowi nadużycie i umożliwia manipulacje dalsze. Wielu redaktorów i publicystów oskarża się o współpracę z władzą, słowo „władza” ma tutaj zdecydowanie negatywne zabarwienie – wszystko jedno, czy mowa o demokratycznie wybranym rządzie, czy o rządzącej w Polsce Ludowej monopartii. Współpraca z ekipą Tadeusza Mazowieckiego, jak również z kolejnymi premierami demokratycznie wybranych rządów, jest oceniana jak najgorzej. Takie postępowanie świadczy, jaki poziom myślenia historycznego reprezentują inkryminowani autorzy. W tej brei czasowej eksponują jednak dwa wyłomy. Pierwszy to krótki czas premiershipu Olszewskiego, drugi – to wielka epoka „czwartej Rzeczypospolitej”. Kontrast jest podkreślany przy każdej okazji, złe siły, prokomunistyczne, antypolskie, spowodowały, że owa wspaniała epoka szybko się zakończyła.

Takie ujmowanie czasu, będące wyrazem zarówno świadomych manipulacji, jak i rażącej niekompetencji, powoduje, że pojawiają się oskarżenia zgoła osobliwe. Cała ich seria dotyczy wyjazdów zagranicznych. To prawda, Polska Ludowa była krajem szczelnie zamkniętym w okresie stalinowskim, potem jednak mimo takich czy innych trudności jakoś w świat szeroki się wyjeżdżało. W latach osiemdziesiątych studenci wyruszali na Zachód całkiem licznie, wyjazdy nie świadczyły w większości przypadków o politycznych uzależnieniach. Jedną z osób najbardziej przez tę hultajską autorską trójkę zniechęconych jest Monika Olejnik. Oskarża się ją nie tylko o to, że ma niesłusznego politycznie ojca, także o to, że będąc w latach osiemdziesiątych studentką, wyjeżdżała za granicę.

W tym miejscu docieramy do najdziwniejszego wątku tej książki: ten, który uznany został za wroga, oskarżony może być o cokolwiek, wszystko, co robił, świadczy przeciw niemu. Każdy jest zbrukany – niezależnie od tego, jak potoczyła się jego biografia. Dotyczy to zresztą także instytucji, choćby redakcji „Polityki”. Pytania, jak to się stało, że założone w roku 1957 partyjne czasopismo przeszło tak wielką ewolucję, że jest dzisiaj najpoważniejszym tygodnikiem opiniotwórczym w kraju, autorzy nie zadają (a jest to jedyny przypadek tego rodzaju nie tylko w skali polskiej), interesuje ich wyłącznie oskarżanie i demaskowanie. Podobnie rzeczy się mają w przypadkach indywidualnych. Jeśli ktoś uznany został za wroga, oskarżać go można o absolutnie wszystko, bo wszystko, co jego dotyczy, jest niejako z góry skazane i świadczy przeciw niemu. W wielu wypadkach demaskowanie i oskarżanie jest ciągnięte na siłę, bo gmerającym w biografii autorom nie udało się niczego znaleźć, zależy im jednak na tym, by na liście potępionych umieścić dane nazwisko. Niekiedy oskarżenia mają wymiar groteskowy. Tak na przykład Katarzynie Kolendzie-Zaleskiej z TVN zarzuca się, że pokazała się na plakacie razem z Mazowieckim, Magdalenie Jethon z III Programu Radia, że sfotografowała się z Tuskiem. Mamy też kronikę towarzyską. Dowiadujemy się wielu rzeczy, takich na przykład, że na urodzinach Jerzego Szmajdzińskiego był jakiś Topałow, że Monika Olejnik była na urodzinach Wałęsy, Nina Terentiew zaś – na imieninach Kwaśniewskiego. Szczególne znaczenie, bo przedstawili ją dwukrotnie



Okładka książki **Resortowe dzieci** Doroty Kania, Jerzego Targalskiego i Macieja Marosza

w swoim wiekopomnym dziele, ma dla autorów sensacyjna scena: Michnik wraz z Olejnik i Urbanem wsiada do samochodu, co uchwycili dzielni pisowscy paparazzi. Rzeczywiście, informacja godna zapisania na wieczną rzecz pamiątkę!

Wspominam o tych spisanych przez autorów z demaskatorską pasją głupstwach, by dobitnie pokazać, na jakim poziomie jest to książka. Wypada zapytać: do kogo jest adresowana? Sądzę, że do czytelnika naiwnego i bezkrytycznego, bo odbiorca myślący, nawet gdy plasuje się po prawej stronie sceny politycznej, musi odłożyć ją z zażenowaniem. Istnieją książki – ogłupiacze, *Resortowe dzieci* należą do tej właśnie kategorii, jest to głos z umysłowego i moralnego dna. Dorota K., Jerzy T., Maciej M. w asystencji wydawnictwa Fronda zapowiadają dalsze ciągi. Stanisław Jerzy Lec skonstatował w jednym z aforyzmów, że nawet będąc na dnie można usłyszeć pukanie od dołu. Jeśli autorzy spełnią zapowiedź, niewątpliwie ono się rozlegnie.

Styczeń 2014

PRZYPISY

¹ Proceder ten Dorota Kania stosuje od dawna, można rzec, że jest w tym starszą specjalistką. Opisałem go na przykładzie jednego z jej produktów w książce *Realia, dyskursy, portrety*, Kraków 2011, str. 161-166. ■